

WASHINGTON.

ON a June afternoon in 1960 Karl Hess 34, an assistant to the president of Ohio's vast Champion Paper and Fibre Company, was driving toward Cincinnati, lost in the manipulative thoughts common to rising young executives. Suddenly the sound of a police siren intruded and he pulled over, perplexed but not alarmed, for in his world the police menaced not.

"Mr. Hess?" The trooper spoke defiantly. "The White House is trying to catch you, sir. Please call this number."

He did not write the platform. National American for President hereafter he was the White House. 17, cl... mellow... low th... iticians... and say... mulars... egress... and "diplo... a book... y help... He was... 1964 he... author...



ZMIERZCH POLITYKI

From For Hess For Hess

Houseboat in a floating commune... as he did Republicanism."

Hess

KARL HESS

man describes, "but the libertarians' who believe in personal freedoms and more in common with

whether... vital in our past is being... by our present, remember... civilizations begin to die when they betray their origins.

discove... for... "Pol... stituti... live of... Hess s... laiszer... them." Why... to the... "the... name... the... imperse... writer... able th... ons in... servati... BY IRME... reason... as an... if V... who... ate from... each year... tology... the real... who keep... develop... tically... the n... people... armies... or to... But ne... growing... these i... for... longer... nation... obvious... Hess... central... people... hands... crumpl...



STOWARZYSZENIE
LIBERTARIAŃSKIE

WASHINGTON.
ON a June afternoon in 1960
Karl Hess 34, an assistant to
the president of Ohio's vast
Champion Paper and Fibre Company,
was driving toward Cincinnati, lost in
the manipulative thoughts common
to rising young executives. Suddenly
the sound of a police siren intruded
and he pulled over, perplexed but not
alarmed, for in his world the police
menaced not.

"Mr. Hess?" The trooper speaks
defiantly. "The White House is
trying to grab you, sir. Please call
this number."

He glances at the white plate-
form. "National American
platform for President
hereafter he will be
the White House
No. 37, Ge
million
how the
politicians
and say
ommittee
and diplo
help
a book
for
He was
1964 he
author



ZMIERZCH POLITYKI

From For Hess For Hess

KARL HESS

Hess

man describes, "but the
libertarians" who believe
personal freedoms
and move in common with



whether... vital in our past
is being... by our present, re-
member... civilizations begin to
die when they betray their origins.

discover
for you
"Feli-
stitution
live of
Hess sa
laiser-
them."
Why
to the
the
name?
me ha
main
impers
writere
the
able th
ions
servati
BY JIM
reason,
as an
if V
ate from
each year
mental
recal
who keep
develop
tically
the n
people
armies,
or to
Hess ne
growing
these i
for sc
longer
nation-
obvious
Hess
central
people
hands
crump

Autor: Karl Hess

Tytuł oryginalny: *The Death of Politics*

Źródło: „Playboy” marzec 1969.

Tłumaczenie: Jędrzej Kuskowski

Tłumaczenie z oryginałem porównał i poprawił: Bartosz Dziewa

Korekta: Przemysław Hankus

Projekt okładki, skład i łamanie: Maciej Harabasz

Copyright © 2021 by Stowarzyszenie Libertariańskie *Zmierzch polityki*
Praca na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach 4.0 Międzynarodowa Licencja Publiczna.
<https://creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/legalcode.pl>

Tekst tłumaczenia pierwotnie opublikowano na portalu liberalis.pl.

Wrocław 2021

SPIS TREŚCI

Zmierzch polityki

7

O wydawcy

39

Wesprzyj nas!

40

Zmierzch polityki

Nie nadszedł czas radykalnej, rewolucyjnej polityki. Jeszcze nie. Pomimo niepokoju, zamieszek, nieposłuszeństwa i chaosu, dzisiejsza polityka jest reakcyjna. Zarówno lewica, jak i prawica stoją po stronie reakcji i autorytaryzmu. Innymi słowy obie są polityczne. Obie chcą jedynie reformować istniejące metody zdobywania i używania władzy politycznej. Ruchy radykalne i rewolucyjne nie chcą reformować. Chcą obalać. Powinno być oczywiste, co jest celem do obalenia – polityka sama w sobie.

Oczy radykałów były zwrócone ku polityce od dłuższego czasu. Podczas gdy rządy na całym świecie zawodzą, a kolejne miliony ludzi uświadamiają sobie, że państwo nigdy nie było i nigdy nie będzie w stanie efektywnie i humanitarnie zarządzać ludzkimi sprawami, ułomność rządu sama zbuduje w końcu podstawę prawdziwie radykalnego i rewolucyjnego ruchu. Póki co radykalno-rewolucyjna pozycja jest odosobniona. Zarówno lewica, jak i prawica boją się jej i jej nienawidzą – choć obie muszą z niej czerpać, aby przetrwać. Ową radykal-

no-rewolucyjną pozycją jest libertarianizm, a jego socjoekonomiczną formą – kapitalizm wolnorynkowy.

Libertarianizm to wiara w to, że każdy człowiek jest absolutnym władcą swojego życia i może czynić z nim, co uważa za stosowne; że wszystkie jego społeczne działania powinny być dobrowolne; że szacunek dla podobnej i równorzędnej władzy innych ludzi nad samymi sobą i – w konsekwencji – nad owocami ich pracy, jest podstawą etyczną humanitarnego, otwartego społeczeństwa. Według tego poglądu jedyną – powtarzam, jedyną – funkcją rządu czy prawa jest zapewnianie takiej ochrony przed przemocą, którą jednostka sama by sobie zapewniła, gdyby była wystarczająco silna.

Gdyby nie to, że libertarianizm zapewnia prawo do dobrowolnego tworzenia społeczności lub rządów bazujących na tych samych przestankach etycznych, można by nazwać go anarchią.

Wolnorynkowy kapitalizm, czy też anarchokapitalizm, jest po prostu ekonomiczną manifestacją etyki libertarianizmu. Zakłada on, że ludzie powinni wymieniać się dobrami i usługami na nieregulowanym przez państwo rynku, opierając się jedynie na zasadzie wartość za wartość. Usługi charytatywne i kolektywne przedsięwzięcia są dobrowolnymi elementami tej samej filozofii. Taki system byłby zwykłą wymianą barterową, gdyby nie powszechna potrzeba podziału pracy, w ramach której ludzie, dobrowolnie, akceptują nośniki wartości takie jak gotówka czy kredyt. Pod względem gospodarczym system ten zakłada anarchię – i czyni to z dumą.

Libertarianizm odrzuca dzisiejsza lewica – apologeci indywidualizmu na usługach kolektywizmu. Kapitalizm odrzuca dzisiejsza prawica – samozwańczy sojusznicy przedsiębiorców, którzy praktykują protekcjonizm. Libertariańska wiara w potęgę ludzkiego umysłu jest odrzucana przez bigotów, którzy wierzą jedynie w ludzki grzech. Libertariańskie przekonanie, że człowiek powinien mieć wolność rozpinania stalowych lin, jak również snucia marzeń z dymu, jest odrzucana przez

hipisów, uwielbiających naturę, lecz pogardzających tworem. Libertariańskie przekonanie, że każdy człowiek jest niepodległą wyspą wolności, z lojalnością przede wszystkim względem siebie samego, odrzucają przez patriotów, którzy śpiewają pieśni wolności, lecz wznoszą również okrzyki o sztandarach i granicach. Nie ma w dzisiejszym świecie aktywnego ruchu opartego o libertariańską filozofię. Gdyby istniał, byłby w niespotykanej pozycji używania władzy politycznej, by obalić władzę polityczną.

Być może powstanie zorganizowany ruch polityczny, będący w stanie przezwyciężyć tę anomalię. Choć może trudno w to uwierzyć, istniała duża szansa na to w kampanii Barry'ego Goldwatera z 1964 roku. Jeśli spojrzelibyśmy dalej niż na same niepokojące nagłówki, zobaczylibyśmy Goldwatera uderzającego w takie czysto polityczne struktury, jak: pobór, powszechne opodatkowanie, cenzura, nacjonalizm, prawnie narzucony konformizm, polityczne ustalanie norm społecznych czy wojna jako instrument polityki zagranicznej.

To prawda, że – w typowo politycznie paradoksalny sposób – Goldwater, który był generałem dywizji (Major General) w Rezerwie Sił Lotniczych, mówił o zmniejszaniu siły państwa, jednocześnie popierając jej zwiększenie na potrzeby zimnej wojny. Nie jest pacyfistą. Uważa, że wojna jest dopuszczalnym działaniem państwa. Dla niego zimna wojna nie wiąże się w żaden sposób z amerykańskim imperializmem, lecz jest jedynie rezultatem imperializmu sowieckiego. Wielokrotnie jednak powtarzał, że nacisk ekonomiczny, dyplomacja i perswazja poprzez propagandę (czy „wojnę kulturową”) są zdecydowanie lepszymi rozwiązaniami niż przemoc. Mówił również, że wrogie ideologie „mogą być pokonane tylko przez lepsze idee, nigdy przez pociski”.

Nie można jednak posuwać się za daleko w obronie Goldwatera. Jego skłonność do libertarianizmu w sferze polityki wewnętrznej po prostu nie przekłada się na jego wizję polityki zewnętrznej. Libertarianizm w czystej postaci jest stanowczo izolacjonistyczny w swoim

całkowitym sprzeciwie wobec instytucji rządów państw narodowych, które są obecnie jedynymi agencjami na świecie zdolnymi toczyć wojny i interweniować w sprawę zewnętrzną.

Jednak w innych kwestiach libertariańskie zabarwienie kampanii Goldwatera było bardziej wyraźne. To, że zaatakował on wprost nieodpowiedzialność fiskalną Social Security przed starszą publicznością i skrytykował Tennessee Valley Authority (TVA) w Tennessee nie było przykładem politycznej naiwności. Pokazywało po prostu pogardę Goldwatera dla polityki, podsumowaną w jego kampanijnej wypowiedzi, iż powinno się ludziom mówić to, „co potrzebują usłyszeć, a nie to, co chcą usłyszeć”.

W kampanii Eugene’a McCarthy’ego dało się wyczuć nutkę libertarianizmu w jego celnej krytyce siły prezydenta. Dyskwalifikowała go jednak jego niejednoznaczna, lecz dostrzegalna obrona władzy rządu jako takiego. W kampaniach i w wypowiedziach żadnych innych polityków z zeszłego [1968 - przyp. red.] roku nie było praktycznie ani śladu libertarianizmu.

Pisałem przemówienia dla Goldwatera w 1964 roku. Pamiętam wyraźnie, że w trakcie kampanii, podczas konferencji, która miała określić „strategię rolniczą”, pewien szanowany i bardzo konserwatywny senator wstał i powiedział: „Barry, musisz jasno orzec, że uważasz, iż każdy amerykański rolnik ma prawo do godziwego zarobku”.

Senator Goldwater odparł z typową dla niego uprzejmością: „Ale on nie ma takiego prawa. Ja też nie. Mamy jedynie prawo się o niego starać”. I to było na tyle.

A teraz, dla kontrastu, weźmy takiego Toma Haydena ze Studentów na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa (Students for a Democratic Society, SDS). W „The Radical Papers” napisał, że jego „rewolucja” chce ustanowić „instytucje poza istniejącym porządkiem”. Jedną z takich instytucji miałyby być „społeczne organizacje do walki z biedą, walczące o federalne fundusze”.

Z tych osób: która jest radykałem i rewolucjonistą? Hayden *de facto* oświadcza, że zamierza wbić się do establishmentu. Goldwater twierdzi, że chce obalić establishment, by raz na zawsze zniszczyć jego moc faworyzowania czy szkodenia komukolwiek.

Celem nie jest obrona kampanii Goldwatera jako libertariańskiej, lecz wskazanie, że zawierała ona zdrową dawkę tego typu radykalizmu. Poza tym jednak jego kampania była bardzo głęboko zanurzona w typowych partyjnych interesach, wizerunkach, mitach i manierach.

Szczególnie w sprawach polityki zagranicznej istnieje bariera przeszkadzająca wyłonieniu się libertariańskiego skrzydła w którejś z głównych partii. Ci sami ludzie, którzy nawołują do zniesienia państwowego autorytetu w każdej innej sprawie, domagają się utrzymywania go w celu budowania maszyny wojennej, przy pomocy której można trzymać komunistów na odległość. Dopiero niedawno logiczne rozumowanie – oraz rozwój sił antypaństwowych w Europie Wschodniej – sprawiły, że można nieco śmielej zadawać pytanie, czy państwo garnizonowe wymagane do kontynuowania zimnej wojny nie jest równie złe lub gorsze niż domniemane zagrożenie, przed którym ma nas ono chronić. Goldwater nigdy nie podjął tego toku rozumowania i możliwe, że nigdy nie podejmie, ale jego podatność na libertariańskie idee sprawia, że wśród zwolenników zimnej wojny jest on jednym z bardziej skłonnych do takiego rewizjonizmu.

To nie jest jedynie dygresja na rzecz figury politycznej (niemal antypolitycznej), wobec której żywię ogromny szacunek. Chcę jedynie podkreślić bezużyteczność tradycyjnych, popularnych sposobów rozumowania w ocenie reakcyjnej natury dzisiejszej polityki i w odkrywaniu prawdziwej natury radykalnej i rewolucyjnej antypolityki. Dzisiejsze partie polityczne oraz politycy – wszystkie partie, wszyscy politycy – kwestionują jedynie formy, w jakich będą wyrażać swoją wiarę w kontrolowanie życia innych. Władza, a w szczególności władza większościowa lub kolektywna (czyli władza elit sprawowana w imieniu

mas), jest ubóstwiana przez każdego nowoczesnego socjaldemokratę. Jedyną innowacją ostatnich czasów jest sugestia, by do elit dodany został ferment w postaci przymusowego członkostwa autentycznych przedstawicieli mas. Aktualna fraza to „demokracja uczestnicząca”.

Tak samo jak władza jest bogiem współczesnego socjaldemokraty, Bóg pozostaje autorytetem współczesnego konserwatysty. Socjaldemokraci, po prostu, praktykują reżim dla reżimu. Konserwatyści, już nie tak po prostu, praktykują reżim dla objawienia. Objawienie czy reżim – wszystko to wciąż sprowadza się do polityki.

Największą skazą konserwatyźmu jest głęboka rozpadlina, w którą wpadają wszystkie mowy o wolności, by roztrzaskać się na skałach autorytaryzmu. Konserwatyści martwią się, że państwo ma zbyt dużą władzę nad ludźmi. Ale to oni dali państwu tę władzę. To konserwatyści, bardzo podobni do dzisiejszych, scedowali na państwo władzę do zaprowadzania nie tylko po prostu porządku w społeczności, lecz konkretnego rodzaju porządku.

To europejcy konserwatyści, najwidoczniej w strachu przed otwartością rewolucji przemysłowej (każdy mógł stać się bogaty – cóż za niedorzeczność!), wyprowadzili pierwsze ciosy przeciw kapitalizmowi przez wspieranie i przyjmowanie praw, które pozwalały uczynić zakłócenia powodowane przez innowację i konkurencję rzadszymi oraz utworowali drogę do wygodnych, potajemnych kartelizacji.

Wielki biznes w Ameryce od lat prowadzi otwartą wojnę przeciw konkurencji, a więc również przeciw wolnorynkowemu kapitalizmowi. Wielki biznes wspiera rodzaj kapitalizmu państwowego, w którym on i rząd mają być partnerami. Więcej krytyków tego etatystycznego skrzywienia wielkiego biznesu pochodzi w dzisiejszych czasach z lewicy niż z prawicy, co dodatkowo utrudnia rozróżnienie stron konfliktu. John Kenneth Galbraith, na przykład, zaatakował ostatnio wielki biznes za jego antykonkurencyjną mentalność. Tymczasem prawica radośnie broni wielkiego biznesu, tak jakby tak naprawdę nie stał się tym samym

rodzajem biurokratycznej i autorytarnej siły, który prawicowcy instynktownie atakują, gdy leży w rękach rządu.

Atak lewicy na kapitalizm korporacyjny jest, gdy się dobrze temu przyjrzeć, skierowany przeciwko zjawiskom gospodarczym możliwym tylko dzięki układom między autorytarnym rządem a zbiurokratyzowanym, nieprzedsiębiorczym biznesem. To niefortunne, że wielu ludzi z Nowej Lewicy bezkrytycznie przyjmuje tę przesłankę za dowód na to, że wszystkie formy kapitalizmu są złe i że oddanie całej własności w ręce państwa jest jedyną alternatywą. Ten sposób myślenia ma swoje lustrzane odbicie na prawicy.

Przykładowo amerykańscy konserwatyści jako jedni z pierwszych przerwali walkę z państwowymi koncesjami i regulacjami. Zamiast tego przyjęli rządowe regulacje dla swoich szczególnych korzyści. Dzisiejsi konserwatyści uważają państwo jako instrument wprowadzania dyscypliny, nawet gdy jednocześnie odrzucają je jako instrument dobroczynności. Konserwatysta, który popiera autoryzowaną federalnie modlitwę w szkołach, jest tym samym konserwatystą, który sprzeciwia się autoryzowanym federalnie podręcznikom w tym samym pomieszczeniu.

Murray N. Rothbard podsumował w „Ramparts” ten typ zabłąkanego konserwatyzmu, pisząc o „nowej generacji młodych prawicowców, »konserwatystów« (...), którzy uważali, że prawdziwy problem współczesnego świata to nic tak ideologicznego jak państwo kontra wolność jednostki albo interwencjonizm kontra wolny rynek; istota problemu, deklarowali, leży w obronie tradycji, porządku, chrześcijaństwa i dobrych manier przed grzechami nowoczesności – rozumem, swawolą, ateizmem i prostactwem”.

Reakcyjność zarówno socjaldemokratów, jak i konserwatystów przejawia się w dość jasny sposób w ich gotowości do oddania państwu i społeczeństwu władzy znacznie wykraczającej poza ochronę wolności przed przemocą. Z różnych powodów uważają państwo za

instrument nie ochrony wolności jednostki, lecz kształtowania albo ograniczania tego, jak ta wolność ma być używana.

Gdy władza społeczności staje się w jakimkolwiek sensie normatywna i przestaje być jedynie ochronną, ciężko jest wytyczyć linię ograniczającą dalsze pogwałcenia wolności jednostki. W gruncie rzeczy taka linia nigdy nie zostanie wytyczona przez partie, które spierają się jedynie o koszty programów i instytucji ustanowionych dzięki sile państwa. Tak naprawdę taką linię można wytyczyć tylko poprzez radykalne kwestionowanie władzy samej w sobie i dzięki libertariańskiej wizji człowieka jako istoty potrafiącej robić swoje bez całego ciężącego bagażu praw i polityki, które nie zadowolają się samą ochroną prawa do życia istoty ludzkiej, ale też chcą jej dodatkowo pokazać, jak ma ona to życie wieść.

Zmora wielu konserwatystów, która wprowadza zamęt w ich spokojne życie i poglądy polityczne (które można streścić jako „prawo i porządek” w dzisiejszych czasach), jest wizja zamieszek. Z tego co wiem, nie ma rzeczy, na jaką konserwatyści nie pozwoliliby państwu, by stłumić zamieszki.

Oczywiście nawet w społeczeństwie wolnorynkowym prawo do samoobrony musiałoby być powszechnie uznane. Łatwo można sobie wyobrazić system obrony własnej oparty o działalność poszczególnych społeczności. Taki system zawsze ograniczałby się wyłącznie do obrony. Konserwatyści chętnie wierzą w to, że państwo powinno również inicjować określone działania ofensywne, aby zapobiegać przyszłym problemom. Zwykle mówi się o „byciu twardym”. Nie chodzi tu tylko o bycie twardym w stosunku do uczestników zamieszek. Chodzi o bycie twardym wobec całej gamy różnych zachowań: długie włosy mają zostać przycięte, ludzie w parkach wyrzucani za noszenie ukrytych gitar, każdy nie dający się po wyglądzie zidentyfikować jako wzorowy obywatel – zatrzymany i przepytany, hultaje wystąpi do wojska, żeby ich naprostować, kina i księgarnie oczyszczone z „plugastwa”

i, przede wszystkim, „ci” ludzie usadzeni na ich miejscu. Konserwatysta zbyt często widzi tylko dwie możliwości: albo społeczny konformizm, albo niewyobrażalny chaos.

Nawet gdyby to były jedyne alternatywy – a rzecz jasna nie są – z wielu powodów można preferować chaos nad konformizm. Osobiście uważam, że miałbym większą szansę przetrwania – a na pewno moje wartości miałyby większą szansę przetrwania – gdyby Watts, Chicago, Detroit albo Waszyngton stanęły w płomieniach, niż gdyby cały naród uościł się w garnizonie.

Współczesne zamieszki w Stanach Zjednoczonych należy rozłożyć na czynniki pierwsze. Nie są one zwyczajnym szabrownictwem i przemocą przeciw życiu i własności. Są też wymierzone we wszechogarniającą przemoc państwa – ten rodzaj ciągłej obywatelskiej przemocy, która pozwala policji na regularne nadzorowanie codziennego życia w niektórych dzielnicach, prawa i regulacje hamujące absolutną wolność wymiany dóbr, szkoły publiczne służące wizjom biurokratów, a nie preferencjom różnorodnych jednostek. Jest też przemoc tych, którzy chcą po prostu powystrzelać stojących im na drodze do władzy. Konserwatyści zdają się widzieć rozwiązanie w zwiększeniu władzy państwowej policji. Socjaldemokraci zdają się widzieć rozwiązanie w zwiększeniu władzy państwa w rozdzielaniu zapomóg i przywilejów. Władza, władza, władza.

Pomijając zwyczajnych szabrowników – których trzeba powstrzymać jak każdego innego złodzieja – rozwiązanie problemu zamieszek musi leżeć gdzie indziej. Trzeba porzucić, a nie rozszerzać, władzę państwa – władzę, która uciska i która kusi. Przytoczę mocny przykład: sklepy białych w wielu afro-amerykańskich dzielnicach, o których mówi się, że są źródłem sporego niezadowolenia i zazdrości, mają dzięki władzy państwowej specjalną przewagę, której nikt nie zauważa. Choć w bardzo biednej dzielnicy może być wielu naturalnie uzdolnionych do otwarcia sklepu detalicznego, znacznie mniej prawdopodobna jest ich

umiejętność sprostania wszelkim państwowym i lokalnymi regulacjom, zarządzającym wszystkim od czystości po księgowość, które bardzo często składają się na marginalną różnicę pomiędzy wejściem nowego biznesu na rynek a pozostaniem poza nim. W prawdziwie wolno-rynkowym społeczeństwie lokalny przedsiębiorca, z którym sąsiedzi być może woleliby handlować, mógłby otwarcie rozpocząć biznes – sprzedając marihuanę, whiskey, losy, bieliznę, książki, jedzenie czy poradniki medyczne z bagażnika samochodu. Mógłby zapomnieć o rejestrach, formularzach oraz raportach i zająć się biznesem, a nie biurokracją. Pozwolenie mieszkańcom gett na konkutowanie na ich własnych, a nie cudzych warunkach, zapewne okazałoby się bardziej zadowalającym, a także praktyczniejszym rozwiązaniem problemów gett niż naloty czy restrykcje.

Libertariańskie odrzucenie władzy i autorytetu, charakteryzujące kampanię Goldwatera, było atakowane z lewej strony jako „nostalgiczne tęsknoty za prostszym światem” (całkiem podobne do naiwnych tęsknot hipisów, których lewica bez problemu toleruje, nawet gdy jednocześnie potępia Goldwatera). Libertarianizm Goldwatera ostro krytykowano z prawej strony – nie otrzymał niemal żadnego poparcia od wielkiego biznesu – jako reprezentujący politykę prowadzącą do nieregulowanej konkurencji, międzynarodowego wolnego handlu i, co gorsza, osłabienia bardzo specjalnego partnerstwa z Wielkim Rządem, jakim obecnie cieszy się wielki biznes.

Najbardziej niesamowite poplątanie, które doprowadziło do krytyki Goldwatera jako reakcjonisty, którym nie jest, a nie radykała, którym jest, towarzyszyło sprawie broni jądrowej. W tej kwestii szczególnie przeklinano go za to, że ośmielił się zaproponować dzielenie się kontrolą nad tą bronią, a nawet całkowite jej oddelegowanie w wielonarodowe ręce Sojuszu Północnoatlantyckiego (NATO), zamiast zostawić ją pod osobistą, jednoosobową dyspozycją Prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Pytam się: kto jest reakcyjny, a kto radykalny? Ci, którzy chcą atomowego króla usadzonego na tronie w Waszyngtonie, czy ten, kto proponuje, by boskie prawo zniszczenia było mniej boskie, a bardziej rozproszone? Do niedawna popularną rozrywką przy koktajlu były dywagacje o różnicach pomiędzy wojną w Wietnamie pod dowództwem „uratujmy-świat-przed-Goldwaterem” Lyndona B. Johnsona, a tym, jak sprawy mogłyby wyglądać pod dzikim Barrym, który – bazując na wszystkim, co mówił w czasie kampanii – byłby zobowiązany podzielić się decyzją w kwestii Wietnamu (oraz walką) z NATO, zamiast po prostu jednostronnie pchać się tam samemu.

Ale wracając do tematu: kluczowe pytanie dotyczące polityki – nie w ramach polityki – jest podobnego rodzaju, co pytanie dręczące chrześcijaństwo. Z pozoru pytanie chrześcijaństwa sprowadza się do tego, jaki rodzaj religii wybrać. Ale w gruncie rzeczy chodzi o to, czy jakiegokolwiek irracjonalne czy mistyczne siły mogą zostać zaakceptowane jako sposób na organizację społeczeństwa w świecie, który przejawia coraz więcej możliwości i gotowości bycia racjonalnym. Polityczną wersję tego pytania można ująć tak: czy ludzie będą nadal poddawać się rządowi polityki, która zawsze oznaczała władzę jednych nad drugimi, czy może jesteśmy gotowi na społeczną samodzielność, wspólnoty oparte na dobrowolności, świat bardziej ekonomii i kultury niż polityki, tak jak wielu jest gotowych na metafizyczną samodzielność w świecie bardziej rozumu niż religii?

Radykalna i rewolucyjna odpowiedź na to pytanie, której udziela libertariańskie, leseferystyczne stanowisko, nie jest do końca anarchią. Libertariańskie, leseferystyczne środowisko jest w gruncie rzeczy, choć niektórych może to zawstydząć, ruchem na rzecz praw obywatelskich. Jest jednak antypolityczne, ponieważ gromadzi zróżnicowane siły, by móc bronić się przed rządem, a nawet w dużym stopniu pozbyć się rządu, a nie szuka siły pozwalającej chronić rząd albo wypełnić jakąś specjalną funkcję społeczną.

Jest to ruch na rzecz swobód obywatelskich, gdyż chce ustanowienia ich dla każdego – takich, jakie zostały zdefiniowane w XIX wieku przez Williama Grahama Sumnera, jednego z pierwszych profesorów nauk społecznych i politycznych na Uniwersytecie w Yale. Jak to ujął Sumner: „Wolność obywatelska to stan człowieka, któremu prawo i instytucje społeczne zapewniają wyłączność dysponowania wszystkimi swoimi siłami dla własnego dobra”.

Współcześni socjaldemokraci rzecz jasna nazwaliby to egoizmem i mieliby rację ze szczególnym naciskiem na ego. Wielu współczesnych konserwatystów stwierdziłoby, że się z Sumnerem zgadza. Myliliby się. Ludzie nazywający siebie konserwatystami, którzy piastują stanowiska w większych przedsiębiorstwach, poświęcają sporo czasu, a także niebagatelne pieniądze, na walkę z rządowym wsparciem dla związków zawodowych (w formie preferencyjnego traktowania w sprawach podatkowych i prawnych) oraz ludności (w formie programów opieki społecznej). Nie walczą z bezpośrednimi dotacjami dla konkretnych branż, takich jak transport, rolnictwo czy szkolnictwo wyższe. W skrócie, nie wierzą w prawo każdego człowieka do wyłącznego dysponowania swoimi siłami dla własnego dobra, gdyż akceptują praktykę opodatkowywania sporej części tych sił, by były używane dla dobra innych ludzi.

Jak już zostało wspomniane – przy całych tych teoretycznych krzykach, które wznosi czasem przemysłowa prawica – można śmiało stwierdzić, że ogromne siły, jakimi rozporządza państwo, by regulować przemysł, wywodzą się nie tylko ze wsparcia biznesmenów, ale wręcz z ich nalegania. Nieekonomiczne koszty usług pocztowych cieszą biznesmenów, którzy mogą dzięki nim zarabiać – i którzy najwyraźniej nie są zainteresowani oczywistą możliwością przekształcenia poczty z biura w firmę. Jako firma, bez wątpienia, domagałaby się opłaty odpowiadającej kosztom przesyłania, a nie takiej, jaką klientom jest wygodnie uiszczać.

Wielcy biznesmeni zarządzający głównymi sieciami telewizyjnymi oraz radiowymi nie są znani z proponowania rozwiązania leseferystycznego, jakim byłaby otwarta i nieregulowana konkurencja o odbiorców i kanały. W rezultacie, rzecz jasna, owe sieci dostają wszelką rządową kontrolę, na jaką sobie zasłużyły, ciesząc się z tego niezmiernie, gdyż – nawet jeśli są poddane cenzurze – są również chronione przed konkurencją. Wartym odnotowania jest to, że najcięższe armaty przeciw płatnej telewizji (która w kapitalizmie powinna być czymś pospolitym) wytoczono nie w „Daily Worker”, lecz w „Reader’s Digest”, tym domniemanym bastionie konserwatyzmu. Zresztą sądzę, że „Reader’s Digest” jest właśnie takim bastionem. Zdaje się wierzyć, że państwo to instytucja z boskim powołaniem do czynienia ludzi moralnymi – w „judeochrześcijańskim” sensie, rzecz jasna. Pogardza, jak żadne inne wydawnictwo poza „National Review” Williama Buckleya, tupetem tych nieczystych osobników, którzy dziś tak regularnie rzucają wyzwanie autorytetowi państwa.

W skrócie, nie ma najmniejszego dowodu na to, że współcześni konserwatyści wyznają filozofię „twoje życie jest twoim własnym”, na której bazuje libertarianizm. Fakt, że konserwatyzm nie tylko nie zgadza się z libertarianizmem, ale wręcz jest wobec niego wrogi, dobrze ilustruje to, że Ayn Rand, najbardziej znana dziś libertariańska autorka, plasuje się tuż za lub niemal obok Leonida Breżniewa w rankingu obiektów ostrej krytyki w „National Review”. Zdaje się, iż jest ona szczególnie piętnowana na prawicy dlatego, że jest ateistką, ośmielającą się nie podzielać poglądu „National Review”, że człowiek – ze względu na jego zasadniczo złą naturę (wynikającą z grzechu pierworodnego) – musi być trzymany na smyczy przez silny i autorytarny porządek społeczny.

Barry Goldwater w swojej kampanii z 1964 roku wielokrotnie powtarzał, że „rząd, który jest wystarczająco silny, by dać ci to, czego chcesz, jest wystarczająco silny, by wszystko ci odebrać”. Konserwatyści jako grupa albo zapomnieli, albo postanowili ignorować fakt, że

dotyczy to także siły pozwalającej rządowi na wymuszanie porządku społecznego. Jeśli rząd potrafi narzucać normy społeczne lub nawet chrześcijańską postawę, może je również zabrać lub wypaczyć.

Reasumując: konserwatyści tęsknią za państwem lub za „przywództwem” posiadającym moc przywracania porządku i ustawiania rzeczy – i ludzi – z powrotem na ich miejscach. Pragną władzy politycznej. Socjaldemokraci tęsknią za państwem, które dokopie bogatym i ukoi biednych. Oni też pragną władzy politycznej. Libertarianie tęsknią za państwem, które nie może – bez żadnej potencjalnej furtki pozwalającej zmienić taki stan rzeczy – rozdawać nikomu przywilejów; za państwem nie mogącym niczego wymuszać, a jedynie nie dopuszczającym do tego, by przemoc wypierała inne wymiany w relacjach pomiędzy jednostkami bądź grupami.

Jedynym celem takiego państwa (prawdopodobnie utrzymywanego wyłącznie z podatków lub składek) byłoby zapewnianie systemu rozwiązywania sporów (sądy), ochrona obywateli przed przemocą (policja), utrzymywanie jakiejś formy waluty dla ułatwienia handlu oraz – tak długo, jak byłoby to konieczne ze względu na istnienie granic i sporów między narodami – obrona zewnętrzna. Jednocześnie libertarianie powinni również dążyć do pozbycia się całego pomysłu państwa narodowego. Warto podkreślić, że libertarianie nie pokładają wielkich nadziei w usługach publicznych, zawsze skłaniając się do poglądu, że ze świata prywatnych jednostek być może lub na pewno wyłoni się ktoś, kto przedstawi rozwiązanie problemu nie wymagające przydzielania komuś władzy, która nie została zdobyta na drodze dobrowolnej wymiany.

W gruncie rzeczy to właśnie w sprawach najczęściej przypisywanych interesowi zbiorowemu – jak sądy i ochrona przed przemocą – państwo często dziś nie wywiązuje się ze swoich zadań. Wynika to z typowo biurokratycznej tendencji do zajmowania się najmniej pilnymi sprawami – w których ryzyko poniesienia odpowiedzialności jest

minimalne – i unikania pełnienia usług istotnych, lecz wymagających przyjęcia odpowiedzialności. Sądy są pozapychane ponad ludzkie wyobrażenie. Policja, zamiast zwyczajnie chronić obywateli przed przemocą, zagłębia się w dogłębne oglądanie ich osobistej moralności. Szczególnie w dzielnicach zamieszkałych przez czarnoskórych policja służy za niechcianych i nielubianych arbitrów codziennego życia.

Jeśli Czytelnik w ostatnich kilku akapitach znajduje jakiegokolwiek oznaki kompatybilności z programem Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego albo Krajowego Stowarzyszenia Producentów (National Association of Manufacturers, NAM), zaleca mu się ponowne ich przeczytanie. Nie ma tu wspólnej płaszczyzny. Nie można też przywołać wspólnej płaszczyzny w kwestii rywalizacji „nowej polityki” ze „starą polityką”. Nowe czy stare, poglądy, które afiszują się tymi tytułami, to nadal polityka i – jak róże – wszystkie one pachną podobnie. Radykalni i rewolucyjni politycy – albo, jeśli ktoś woli, antypolitycy – nie powinni napotkać większych trudności w wywęszeniu ich.

Konkretnymi sprawami, które ilustrują te różnice, są między innymi: pobór do wojska, marihuana, monopole, cenzura, izolacjonizm-internacjonalizm, stosunki rasowe i sprawy miejskie, by wyróżnić kilka z nich.

W swojej przerwanej kampanii prezydenckiej Nelson Rockefeller zajął stanowisko w kwestii poboru. W szczególności zdystansował się od pozycji Richarda Nixona w tej sprawie, nazywając ją „starą polityką”, w przeciwieństwie do jego „nowej polityki”. Rockefeller proponował pewne usprawnienia poboru, nie zmieniające jednak w żaden sposób jego oczywistej istoty – narzuconej przymusem niewoli. Rockefeller skrytykował Nixona za stwierdzenie, że w bliżej nieokreślonej przyszłości pobór mógłby zostać zastąpiony systemem ochotniczym – co Republikanie obiecują od dawna.

Nowy polityk zadowolił się stwierdzeniem, że system Nixona nigdy by nie zadziałał, ponieważ *nie działał* nigdy wcześniej. O tym, że kraj ten nigdy nie oferował żołnierzom realistycznego żołdu, który mógłby

ich przyciągnąć, Rockefeller nawet nie wspomniał. Nie przeszła też najwyraźniej nowemu politykowi przez głowę myśl, że naród, który nie jest w stanie przyciągnąć wystarczająco wielu ochotników, by zapewnić mu dobrowolną obronę, jest też prawdopodobnie narodem, którego – z definicji – nie warto bronić.

Z drugiej strony stary polityk nie prezentował tak klarownego stanowiska w sprawie poboru, jakie próbował mu przypisać nowy polityk. Choć teoretycznie był zwolennikiem wojska ochotniczego, Nixon – podobnie jak przypuszczalnie jeszcze *bardziej* konserwatywny Ronald Reagan – był przeciwny jego wypróbowywaniu *przed końcem* wojny w Wietnamie. W całym spektrum różnych poglądów konserwatywnych nie widać odstępstw od tej pozycji. Wolność jest w porządku – ale należy ją zawiesić dopóty, dopóki trzeba toczyć gorącą lub zimną wojnę.

Wnioski płynące z tego zgubnego poglądu powinny wstrząsnąć każdym z nas. Implikuje on, że wolni ludzie nie są na tyle pomysłowi, by bronić się przed przemocą, nie stosując przemocy samemu – nie tylko wobec wroga, lecz także wobec siebie samych oraz swoich wolności. Jeśli nasza wolność jest tak krucha, że musimy jej nieustannie bronić, rezygnując z niej, to mamy duży problem. I w gruncie rzeczy, podążając całkiem podobnym tokiem rozumowania, wpakowaliśmy się w bardzo duży problem w Azji Południowo-Wschodniej. Wojna Johnsona eskalowała tam właśnie na podstawie przesłanki, że wolność Południowych Wietnamczyków może być uzyskana poprzez narzucanie im, jaką formę rządów powinni mieć – choćby i z dnia na dzień – i przez bronienie jej przed Północnymi Wietnamczykami, dewastując południowe wioski.

Zarówno w polityce zagranicznej, jak i w sprawach wewnętrznych nowi i starzy politycy głoszą te same zakurzone doktryny przymusu i sprzeczności. Radykalnym, libertariańskim przestaniem, antypolitycznym przestaniem jest to, że dopóki bezmyślna wojna między państwami narodowymi pozostaje możliwością, dopóty wolne państwa narodowe

powinny przynajmniej bronić się przed wojną poprzez zatrudnianie ochotników, a nie przez niszczenie dobrowolności.

Jeden z najbardziej średniowiecznie fascynujących umysłów XX wieku, ten należący do Lewisa Hersheya, wyjątkowego właściciela i gospodarza Selective Service System, ukazał ten smutny obraz z idealnej perspektywy w swoim pamiętnym, wygłoszonym na zebraniu National Press Club stwierdzeniu, że „drż[y] na myśl o dniu, w którym [jego] wnuki byłyby brnione przez ochotników”. Oto właśnie przykład, jeden z najbardziej odrażających, jakie zarejestrowano, tego, co czynią z człowiekiem polityka i władza, autorytet oraz artretyczny tradycjonalizm. Dyrektorowi Hersheyowi został oszczędzony los postaci komicznej dzięki dość oczywistemu faktowi – jako współodpowiedzialny za śmierć tak wielu przymuszonych ludzi i za uwięzienie tak wielu innych, jest on postacią tragiczną lub przynajmniej uczestnikiem tragedii. Nie ma żadnej nowej ani starej polityki, jeśli chodzi o pobór. Pobór jest polityczny, to jasne jak słońce. Armia ochotnicza jest w gruncie rzeczy komercyjna. I właśnie pomiędzy polityką a handlem adept radykalnej lub rewolucyjnej polityki musi nieustannie wybierać.

Dobrym przykładem jest marihuana. W leseferystycznym społeczeństwie nie mogłyby istnieć publiczne instytucje mogące przymusowo chronić ludzi przed nimi samymi. Przed innymi (przestępcami) – tak. Człowieka przed nim samym – nie. Marihuana to roślina, płód rolny. Ci, którzy ją palą, nie robią tego, bo są zmuszani przez fizjologiczne uzależnienie czy instytucję władzy. Czynią to dobrowolnie. Znajdują osobę, która dobrowolnie ją hoduje. Uzgadniają cenę. Jedna strona sprzedaje, druga kupuje. Jedna zdobywa fundusze, druga uzyskuje euforyczne przeżycie, które – jej zdaniem – było warte przeznaczania na nie części środków.

Nigdzie w tym równaniu nie ma punktu, w którym sąsiedzi, czy dowolna rzesza sąsiadów podająca się za duchownych czy społeczeństwo, miałby najmniejszy racjonalny powód do interwencji. Działanie

to w żaden sposób nie pozbawiło nikogo „wyłącznieści dysponowania wszystkimi swoimi siłami dla własnego dobra”.

Dzisiejsze prawa przeciwko marihuanie, ustanawiane kompletnie wbrew wszelkim dowodom dotyczącym jej natury, są doskonałym przykładem użycia władzy politycznej. To właśnie ta władza, która pozwala państwu na delegalizację marihuany i na aresztowanie Len-ny’ego Bruce’a, umożliwia mu również ściąganie podatków z jednego człowieka, by wypychać nimi kieszenie drugiego. Może się wydawać, że cele są tu inne, ale po zbadaniu widać, że tak nie jest. Marihuana musi być zabroniona, aby ochronić ludzi przed oddaniem się szaleń-
stwu w jej oparach i uczynieniu jakiejś szkody społeczeń-
stwu. Bieda również musi być zakazana z podobnego powodu. Biedni, jeśli nie
uczyni się ich niebiednymi, gniewnie powstaną i zaszkodzą społeczeń-
stwu. Jak zawsze w polityce, cele oraz władza mieszają się i wspierają
nawzajem.

W kontekście polityki i antypolityki „twarde” narkotyki trzeba pod-
dać temu samemu testowi, co marihuanę. One także są po prostu
wymienialnymi substancjami, z tą różnicą, że nieostrożne korzystanie
z nich może wyrządzić użytkownikowi całkiem poważną szkodę. (Do-
daję to tylko dlatego, że – w moim rozumieniu – na każdym poziomie
uzależnienia istnieje szansa przełamania lub kontrolowania nałogu. To
by sugerowało, że jednostka może dokonywać w tej kwestii wyboru;
może być w rzeczy samej ostrożna bądź nie.)

Nieostrożne używanie narkotyków, tak samo jak nieostrożne uży-
wanie politycznie sankcjonowanych i koncesjonowanych narkotyków
takich jak alkohol czy tytoń, stawia daną osobę w pozycji nie do
pozazdroszczenia. Może nawet ją zabić. Jest to, racjonalnie rzecz
ujmując, jej sprawa dopóty, dopóki swoimi działaniami nie narusza
twojego prawa do podjęcia decyzji o niezazywaniu narkotyków, do
pomocy uzależnionym czy, jeśli wolisz, do ignorowania ich. Ale i z le-
wej, i z prawej strony słychać, że prawdziwy problem jest społeczny

i publiczny – że wysoka cena używek popycha uzależnionego do kradzieży i morderstwa (pozycja prawicowa), a uczynienie z nich sprawy publicznej i wydawanie narkotyków w klinikach wyeliminowałyby przyczyny tych przestępstw (pozycja lewicowa).

Oba stanowiska są przesiąknięte polityką i całkowicie bezużyteczne w społeczeństwie, w którym granica pomiędzy poszerzaniem świadomości przy pomocy kawy a LSD jest sprawą w dużej mierze techniczną. Wybierając podejście ekonomiczne i kulturowe, zamiast podejścia politycznego, antypolityczny libertarianin powiedziałby: sprzedawajcie. Konkurencja obniży ceny. Kulturowe zakorzenienie się etyki nienaruszalności życia oraz własności człowieka uzasadniłoby obronę przed jakąkolwiek przemocą, jaka mogłaby towarzyszyć uzależnieniu innych. I co ma tu „społeczeństwo” więcej do zrobienia? Absolutnie nic – oprócz decyzji, każdego z osobna, czy zaryzykować wzięcie narkotyków, czy ich unikać. Rodzice oczywiście trzymają rękę na kieszeniach swoich dzieci, przez co mają pewną kontrolę, ale tylko indywidualną, nigdy kolektywną.

Nawiasem mówiąc, nietrudno sobie wyobrazić, że gdyby pozostawić narkotyki kulturze i gospodarce, odbierając je polityce, badacze medyczni szybko znaleźliby sposób na sprzedawanie pożądaných efektów narkotyków, nie powodujących niemocy uzależnienia. W tej oraz w podobnych sprawach – jak w przypadku nieregulowanej konkurencji, przed którą, uważa się, należy ludzi chronić – technologia może przynieść znacznie lepsze efekty niż polityka.

Monopole są tu trafnym przykładem. By zakładać, że ktokolwiek potrzebuje państwowej ochrony przed powstawaniem monopolu, trzeba wpięć przyjąć dwa przypuszczenia: że monopole są naturalnym rezultatem wolnej przedsiębiorczości oraz że technologia jest statyczna. Oba są rzecz jasna nieprawdziwe. Wielkie ośrodki koncentracji potęgi ekonomicznej, które nazywa się dziś monopolami, nie rosną *pomimo* antymonopolistycznej gorliwości rządu. Ich wzrost był spowo-

dowany głównie rządową polityką, taką jak ta, przez którą bardziej opłaca się sprzedawać małe firmy wielkim spółkom niż samodzielnie borykać się z przepisami podatkowymi. Ponadto federalna polityka fiskalna i kredytowa oraz federalne dotacje i kontrakty dostarczyły zdecydowanie większego wsparcia dużym, uznanym firmom niż mniejszym, potencjalnie konkurencyjnym. Przemysł samochodowy otrzymuje największe subsydia ze wszystkich – w postaci programu budowy autostrad, dzięki któremu prosperuje, a za który z pewnością nie zapłacił uczciwego wkładu. Linie lotnicze otrzymują takie dotacje i ochronę, że nowe podmioty nie mogą nawet podjąć próby konkurowania. Sieci telewizyjne w ogromnym stopniu korzystają na koncesjach Federalnej Komisji Łączności (Federal Communications Commission, FCC), które nie pozwalają żółtodziobom wejść na rynek zdominowany przez starych wyjadaczy. Nawet w rolnictwie to wielcy, usatkwowani farmerzy dostają ogromne dotacje – nie ci mniejsi, którzy mogliby chcieć z nimi konkurować. Prawa wyraźnie wyłączone związki zawodowe spod działalności antytrustowej również przyczyniły się do szerzenia monopolistycznej mentalności. No i, rzecz jasna, koncepcje „użyteczności publicznej” oraz „transportu publicznego” doprowadziły do stworzenia specjalnych, licencjonowanych przez rząd monopolii w energetyce, komunikacji i usługach przewozowych. To wszystko nie oznacza, że ekonomiczna wielkość jest zła. Nie jest, jeśli wynika z ekonomicznej efektywności. Ale jest zła, jeśli jest efektem układu z siłą polityczną, a nie ekonomiczną. Nie przychodzi mi do głowy przykład monopolu w dzisiejszym świecie, który nie mógłby zostać poważnie zagrożony przez siły konkurencji, gdyby tylko nie był chroniony jakąś rządową licencją, cłem, subsydiem czy regulacją. Nie ma w dodatku najmniejszego skrawka dowodu, który by sugerował, że nieregulowany biznes i przemysł zmierzają w kierunku monopolu. W istocie, zdaje się, że trend zmierza w odwrotnym kierunku, ku zróżnicowaniu i decentralizacji.

Równie ważny jest aspekt technologiczny. Monopole nie mogą się wykształcić tam, gdzie technologia pozostaje dynamiczna, a dziś zdecydowanie taka jest. Żadna korporacja nie jest tak wielka, by kontrolować wszystkie możliwe umysły – oprócz, rzecz jasna, państwa korporacyjnego. Dopóki istnieje jeden umysł poza zasięgiem, dopóty jest szansa na innowację i konkurencję. Nie może zaistnieć realny monopol, jedynie chwilowa przewaga. Technologiczny przełom nie zawsze wymaga ogromnych środków, a nawet tam, gdzie wymaga, nie musi opierać się na pojedynczym źródle finansowania – chyba że tylko państwo dysponuje pieniędzmi. Bez totalnej kontroli państwa, zakładając istnienie twórczych umysłów w społeczności oraz kapitału do budowy nawet skromnych ośrodków badawczych, niewielu stwierdziłoby wprost, że innowacja byłaby uniemożliwiona tylko dlatego, że jakiś podmiot cieszy się tymczasowym „monopolem” na dany produkt czy usługę. Wyjątkiem, powtarzam, są zawsze rządy. Rządy mogą być – i zwykle są – monopolistyczne. Na przykład nie jest dziś nieekonomicznym prowadzenie prywatnego zakładu pocztowego. Jest to jedynie nielegalne. Rząd federalny cieszy się legalnym monopolem – i właśnie stawia przed sądem co najmniej jednego przedsiębiorcę, który zapewniał usługi pocztowe lepsze i tańsze od państwowych.

Nie jest potrzebna polityka, by zapobiegać monopolom. Jedynym, czego potrzeba, jest nieregulowany, nieograniczony leseferystyczny kapitalizm. Zapewniłby on także miejsca pracy, podniósłby jakość życia, ulepszyłby towary i tak dalej. Gdyby działalność komercyjna była nieregulowana i zupełnie niedotowana, jej sukces zależałby tylko od jednego czynnika – zadowolenia klientów.

Cenzura to inny warty odnotowania przykład sytuacji, w której polityka i politycy wtrącają się pomiędzy konsumenta a jego satysfakcję. Miarą jest tutaj nie to, czy klient jest zadowolony, lecz czy polityk (indywidualnie lub jako trybun „ludu”) jest zadowolony. Dotyczy to w równym stopniu „publicznej” ochrony przed niepopularnymi po-

glądami politycznymi, co ochrony przed pornografią. Konserwatyści przynajmniej wykazują spójność w tej sprawie. Uważają, że państwo (czasem nazywane przez nich „społecznością”) może i musi chronić ludzi przed podejrzanymi myślami. Nie trzeba wyjaśniać, kto definiuje, co jest podejrzane: polityczni lub społeczni przywódcy, rzecz jasna.

Być może najbardziej ironiczna ze wszystkich manifestacji konserwatywnej potrzeby czystomyślenia dotyczy zmarłego Lenny’ego Bruce’a. Ten nie przebierał w słowach. Dlatego też był ulubionym celem konserwatystów. Był również otwartym – i, jak sądzę, wnikliwym – obrońcą kapitalizmu. Opisując komunizm jako mordęgę („jak jedna wielka firma telekomunikacyjna”) Bruce wyraźnie opowiedział się za kapitalizmem („daje ci wybór, złotko, i o to właśnie chodzi”). Żaden tradycyjny konserwatysta nie może się nawet równać z Lennym Bruce’em jeśli chodzi o gorliwe oddanie indywidualizmowi. Lenny Bruce często używał słowa, które wielu konserwatystów uważa za najplugawsze ze wszystkich: mówił kapitalizm. Kiedy ostatnio Krajowe Stowarzyszenie Producentów tak dużo zrobiło?

Lenny Bruce nie był jedynym człowiekiem, który zrażał do siebie konserwatystów samym otwarciem ust. W 1964 roku Barry Goldwater zniechęcił całe tłumy konserwatystów z południa Stanów Zjednoczonych, gdy, odpowiadając na podnoszące tam temperaturę pytanie – czy komunistom powinno się pozwalać na przemawianie na kampusach stanowych uniwersytetów – odpowiedział wprost: „Oczywiście, że powinno”.

Nawet antykomunistyczni libertarianie muszą odmówić państwu prawa do uciszania komunistów. Podobnie libertarianie, których ze względów estetycznych odrzuca to, co uważają za pornografię, nie mogą przyjąć innej drogi niż nie kupowanie jej, zostawiając jej całkowicie nieregulowaną sprzedaż producentowi, konsumentowi i nikomu poza tym. Jednak, powtórzmy, zainterweniować mógłby rodzic – lecz tylko przez powstrzymanie pojedynczego, znajdującego się na jego utrzy-

maniu nabywcy, nigdy poprzez powstrzymanie dostawcy, którego prawo do sprzedawania pornografii dla zysku, i dla żadnego innego rehabilitującego w oczach społeczeństwa celu, byłoby nienaruszalne. Rozsierdzony rodzic, próbujący wypędzić z ulicy handlarza sprośnościami, w gruncie rzeczy powinien zostać pozwany, a nie wychwalany.

Stosunek socjaldemokratów do cenzury nie jest taki jasny. Zresztą nie musi być. Socjaldemokraci wolą ją praktykować niż propagować. Skandaliczna władza Federalnej Komisji Łączności pozwalająca domagać się, aby nadawane programy służyły społecznemu celowi, jest zarówno elementem doktryny socjaldemokratów, jak i aktem cenzury. Zgodnie z kanonem FCC społeczny cel jest definiowany tak, że stacja może dostać punkty za dawanie kaznodziei darmowego czasu na antenie, ale żadnych punktów – lub nawet ujemne – za podobny prezent dla ateisty.

Częściowo również na antenie pojawiają się dotyczące nacjonalizmu różnice pomiędzy starymi lewicowymi/prawicowymi politykami a libertariańskimi antypolitykami. Podczas gdy dzisiejszego konserwatystę charakteryzuje żarliwy szowinizm wobec starych narodów, socjaldemokrata jest fanatycznie oddany szowinizmowi nowych narodów. Skłonność nowoczesnych socjaldemokratów do sugerowania pomysłu zbrojnej interwencji przeciw Republice Południowej Afryki, przy jednoczesnym ignorowaniu – nawet jeśli chodzi o poważniejsze podjęcie tematu przez media – rzezi w Nigerii i w Sudanie, uwidacznia zainteresowanie jedynie polityką – i konkretnymi osobami – a nie ludzkim życiem samym w sobie.

Rzecz jasna konserwatyści stosują podobne podwójne standardy względem antykomunistycznych rzezi i antykomunistycznych dyktatur. Choć nie są tak kapryśnie wybiórcze jak decyzje socjaldemokratów, czy czuć odrazę, czy radość w obliczu różnych krwawych jatek, konserwatywne podwójne standardy mogą mieć równie tragiczne skutki. Źródła specyficznego podskórnego antysemityzmu, który w oczywisty

sposób podszywa wiele ruchów konserwatywnych, można odnaleźć w przerażającym założeniu, że antykomunizm Adolfa Hitlera usprawiedliwia jego inne, względnie niewielkie przewinienia. W jakiś sposób antykomunizm zdaje się pozwalać na antysemityzm.

Swego czasu spotykałem wielu antykomunistów, którzy byli przekonani, że komunizm był marionetką w rękach Żydów planujących przejąć władzę nad światem. Osobny oddział dla żydowskich członków w John Birch Society (JBS) jest moim zdaniem poważno-komicznym odzwierciedleniem starego dobrego antysemityzmu WASP-ów [białych Anglosasów wyznania protestanckiego – przyp. red.]. Dobrze udokumentowany podziw dla Hitlera ze strony czołowego działacza prawicowego Liberty Lobby jest prawdopodobnie odzwierciedleniem sposobu myślenia typu: „potrzeba silnego człowieka, by zwalczyć ateistyczny komunizm”. Istnieją rzecz jasna prominentni żydowscy antykomuniści. I jest wielu antykomunistów potępiających antysemityzm. Ale najżywotniejsze pytanie większości pełnoetatowych antykomunistów, jakich spotkałem, brzmi po prostu: czy jesteś antykomunistą? Bycie przy okazji antysemitą nie powoduje automatycznej dyskwalifikacji na prawicy, choć na lewicy zwykle już tak.

Konserwatyści i socjaldemokraci podzielają mistyczny pogląd, że narody naprawdę coś znaczą, prawdopodobnie coś niezmiennego. Obie grupy przypisują liniom wytyczonym na mapach – albo na piasku czy w powietrzu – moc magicznego tworzenia ludzkich społeczności, wymagających suwerenności i usankcjonowania. Konserwatysta czuje to, popadając w egzaltację w obliczu flagi Stanów Zjednoczonych. Socjaldemokrata czuje to z akademicką pewnością, gdy uznaje, że sowieckie granice muszą być „zagwarantowane”, by zapobiec nerwowości Sowietów. W dzisiejszych czasach całkowitego zagubienia są ludzie, którzy sądzą, że sowieckie linie, wytyczone krwią, są lepsze niż te, które – również krwią – wytyczyła amerykańska polityka zagraniczna. Politycy po prostu myślą w taki sposób.

Radykalny i rewolucyjny pogląd na przyszłość koncepcji narodów jest, logicznie rzecz biorąc, taki, że tej przyszłości nie ma. Jest jedynie przeszłość – często ekscytująca i zwykle historycznie użyteczna na jakimś etapie. Ale linie na mapie, na ziemi czy w stratosferze nie zdadzą egzaminu w przyszłości rodzaju ludzkiego.

Ponownie to technologia pozwala kontemplować dzień, w którym polityka narodów będzie równie martwa, co polityka dzierżących władzę partyjnych stronnictw. Po pierwsze, jest na świecie wystarczająco dużo informacji i bogactwa, by zapewnić wszystkim ludziom wyżywienie bez mordowania jednych, by położyć ręce na własności drugich. Po drugie, i tak nie ma już teraz możliwości, by ochronić cokolwiek lub kogokolwiek państwową granicą.

Nawet Związkowi Sowieckiemu, który – zgodnie z obawami konserwatystów – dzierży „absolutną” władzę nad swoimi poddanymi, nie udało się powstrzymać – wytyczaniem linii czy tysiącami egzekucji – napływu wywrotowych idei, obyczajów, muzyki, poezji, tańców, towarów, pragnień. Jeśli przodujące państwo policyjne świata (albo my, albo oni, w zależności od politycznego punktu widzenia) nie było zdolne do całkowitego schronienia się za swoimi granicami, jaką wiarę my, obywatele, możemy lub powinniśmy pokładać w granicach?

Zgodnie z przewidywaniami zarówno konserwatyści, jak i socjaldemokraci reagują na pomysł końca narodowości bardzo podobnymi okrzykami potępienia i spazmami reakcji. Konserwatysta twierdzi, że *tak być nie może*. Zawsze będzie istnieć Inspektor Celny Stanów Zjednoczonych i niech mu wiatry sprzyjają. Socjaldemokrata oznajmia, że wcale nie chce skończyć z narodowością – przeciwnie, chce ją rozszerzyć, uczynić ogólnoswiatową, stworzyć mnóstwo mini- i mikro-nacji w imię ochrony etnicznej i kulturowej, a potem wznieść ogromną superbiurokrację, aby nadzorowała wszystkie pomniejsze biurokracje.

Jak Linus [bohater komiksów „Fistaszki” – przyp. red.] ani socjaldemokrata, ani konserwatysta nie mogą znieść myśli o oddaniu koca

- porzuceniu rządu i podążaniu dalej samodzielnie jako mieszkańcy planety, a nie kraju. Zwolennicy izolacjonizmu (choć niektórzy - trzeba przyznać - bronią go jedynie ze względów taktycznych) zdają się wpadać tutaj w paradoks. Izolacjonizm nie tylko opiera się na koncepcji narodów - on czyni ją bardziej skostniałą. Istnieje jednak podkategoria izolacjonizmu, która może tego uniknąć, uściślając, że popiera jedynie militarny izolacjonizm, czyli użycie siły jedynie w obronie *własnej*. Nawet to wymaga jednak politycznej definicji obrony narodowej w tej epoce pocisków, baz, bombowców i dywersji.

Dopóki istnieją rządy o sile wystarczającej, by utrzymywać granice i przybierać w imieniu narodu polityczne postawy, dopóty będziemy mieli do czynienia z absolutnym ryzykiem, jeśli nie z pewnością, że dojdzie do wojny między nimi. Sama możliwość wojny zdaje się być zdecydowanie zbyt katastroficzna, by ją rozważać w świecie przesiąkniętym technologią i potencjałem rozwoju, zawierającym nawet ziarno eksploracji kosmosu. Przemoc i te instytucje, które same mogą ją podtrzymywać, powinny zostać odstawione do lamusa.

Rządy toczą wojny. Życiodajna siła, jaką mogą sobie rościć, prowadząc szpitale czy karmiąc biednych, stanowi jedynie lustrzane odbicie ich śmiercionośnej siły, którą również sobie roszczą - wypełniając te szpitale rannymi i niszcząc ziemie, na których można by uprawiać żywność. „Ale człowiek jest agresywny”, nawołuje lewica i prawica z głębi swego pesymizmu. I w istocie taki jest. Ale gdyby go zostawiono w spokoju, gdyby nie był podporządkowany ani państwu, ani służbom, czy ta agresja nie skierowałaby się ku ujarzmianiu jego środowiska, a nie innych ludzi?

Na innym polu bitwy to wybór agresji, nie tyle względem innych ludzi, co względem politycznie utrwalanego środowiska, charakteryzuje konflikty rasowe w dzisiejszej Ameryce. Konserwatyści, jednym ze swoich ulubionych przeskoków w rozumowaniu - prawami stanów - wyhodowali nowoczesny amerykański rasizm poprzez wspieranie

praw, szczególnie w południowych stanach, dających władzom moc zmuszania biznesmenów do budowy segregowanych obiektów (wielu biznesmenów z pewnością chciało być „zmuszanymi” – to dawało ich własnemu rasizmowi stanową aprobatę). Przeskok w kwestii praw stanów polega na tym, że konserwatyści, którzy odmawiają rządowi federalnemu pewnego rodzaju kontroli nad obywatelami, chętnie przyznają dokładnie taką samą kontrolę mniejszym jednostkom administracyjnym. Twierdzą, że mniejsze jednostki są bardziej efektywne. Oznacza to, że konserwatyści popierają przymus wobec jednostek używany na najefektywniejszym poziomie. To oczywiście nie znaczy, że sprzeciwiają się przymusowi. Przez nieopieranie się stanowym prawom dotyczącym segregacji i międzyrasowych związków, przez nieopieranie się prawom podtrzymującym nierówne traktowanie ras przy wydawaniu pieniędzy z podatków, tylko dlatego, że prawa te zostały ustanowione przez stany, konserwatyści zawiedli w walce z tą samą biurokracją, której rzekomo nienawidzą – i to właśnie na tym poziomie, na którym mogli ją powstrzymać.

Rasizm w tym kraju wspierano nie pomimo, lecz dzięki sile rządu oraz polityce. Odwrócony rasizm, czyli przekonanie, że w kompetencji rządu leży zmuszanie ludzi do integracji, tak jak kiedyś zmuszał ich do segregacji, jest równie polityczny i równie katastrofalny. On nie działał. Jego skutkiem była nienawiść, a nie braterstwo. Braterstwo nigdy nie mogłoby być skutkiem polityki. Jest sprawą czysto osobistą. W kwestiach rasowych, tak jak we wszystkich innych sprawach dotyczących jednostek, brak rządu przyniósłby same korzyści. Co tak naprawdę może zrobić rząd dla czarnoskórych w Ameryce, czego oni sami nie mogliby zrobić lepiej, gdyby dano im wolność działania? Nic nie przychodzi mi na myśl.

Praca? Politycznie i państwowo koncesjonowane związki zawodowe czynią więcej, by odmówić czarnoskórym dostępu do dobrych miejsc pracy, niż wszyscy Bullowie Connorowie Południa. Domy, szkoły

i ochrona? Wyraźnie pamiętam, jak skomentował ten temat Roy Innis, krajowy dyrektor Kongresu Równości Rasowej (Congress of Racial Equality, CORE). Mówił o typowo socjaldemokratycznym zapale burmistrza Johna Lindsaya do rozdawania pieniędzy czarnoskórym, do zasypywania ich nimi – lub uciszania ich. Innis stwierdził wtedy, że jedyną rzeczą, której burmistrz Lindsay nigdy by czarnoskórym nie dał, było to, czego tak naprawdę chcieli: siła polityczna. Chodziło mu o to, że przykładowo społeczność czarnoskórych w Harlemie, zamiast bycia bombardowaną pieniędzmi z podatków, wołałaby być obdarowana samym Harlemem. To jest społeczność. Dlaczego nie miałyby rządzić sama sobą lub przynajmniej żyć samodzielnie, nie musząc być baronią polityki dzielnicowej Nowego Jorku? Sprzeciwiam się jednak pomysłowi zbudowania w Harlemie struktury politycznej podobnej do nowojorskiej, tylko osobnej. I możliwe, że wyrządzam niesprawiedliwość panu Innisowi, który jest nadzwyczajnym człowiekiem, samą sugestią, że to właśnie miał na myśli.

Pomijając nawet ten jeden przykład, w niezwykle ekscytujących prądach czarnej siły w tym kraju drzemie równie ekscytująca możliwość rozwinięcia się w rewoltę przeciw samej polityce. Mogłaby ona domagać się znacznie mniej ustrukturyzowanych społeczności, o znacznie bardziej dobrowolnych instytucjach. Nie ma moim zdaniem wątpliwości, że – koniec końców – ten oraz podobne ruchy odkryją, iż *laissez-faire* jest sposobem na tworzenie autentycznych dobrowolnych społeczności. *Laissez-faire* to jedyna forma społeczno-ekonomicznej organizacji zdolna tolerować, a nawet udzielić błogostawieństwa kibucowi działającemu w samym środku Harlemu, hipisowi sprzedającemu haszysz przy tej samej ulicy oraz, kilka bloków dalej, firmie inżynierów zamierzających zaprezentować w Detroit tani pojazd o napędzie atomowym.

Kibuc reprezentowałby zatem dobrowolny socjalizm – jaką inną formę mogliby tolerować wolni ludzie? Sprzedawca haszyszu repre-

zentowałyby zinstytucjonalizowane – ale dobrowolne – sny na jawie, a inżynierowie nieregulowaną kreatywność. Cała trójka reprezentowałaby wolnorynkowy kapitalizm w akcji i żadne z nich nie potrzebowałyby ani jednego biurokraty, by pomagał, krępował, cywilizował lub stymulował. I – dzięki samej różnorodnej egzystencji – mieszkańcy tej dobrowolnej społeczności, tak długo, jak inni dobrowolnie handlowaliby z nimi, rozwiązywaliby „miejski” problem w jedyne sposoby, w jaki da się go rozwiązać, to znaczy przez eliminację polityki, która ten problem stworzyła.

Jeśli miasta nie potrafią utrzymywać się z umiejętności, energii i kreatywności ich mieszkańców, pracowników czy inwestorów, nie powinni na nie łożyć ludzie, którzy w nich nie mieszkają. W skrócie, każda społeczność powinna być oparta na dobrowolności – do tego stopnia, by żyła dzięki własnym członkom i poprzez nich, nie zmuszając innych do opłacania jej rachunków. Społeczności nie powinny być wyłączone z wolności obywatelskiej przypisanej ludziom – wyłączenia korzystania ze wszystkich swoich sił dla własnego dobra. Oznacza to, że nikt nie powinien ci przymusowo służyć i ty także nie powinieneś przymusowo służyć nikomu innemu. Dla społeczności oznacza to egzystencję bez przymusowej pomocy od ani dla innych społeczności.

Dzisiejsi studenci dysydenci zdają się myśleć, że przebili się do nowych prawd i nowej polityki, domagając się, by uniwersytety i społeczności odpowiadały na oczekiwania swoich studentów lub mieszkańców. Jednak większość z nich tylko igra ze starą polityką. Gdy zdadzą sobie z tego sprawę, gdy ich atak skieruje się przeciw politycznej sile i autorytetowi, a przestaną walczyć o to, by samemu zdobyć władzę – wtedy w ruchu tym może wyzwolić się potencjał drzemący w intelekcie tak wielu jego przedstawicieli. Przy okazji, do tego stopnia, do jakiego studenci aktywni na całym świecie rzeczywiście walczą przeciw istnieniu władzy politycznej, a nie o przejęcie jej części dla siebie, nie powinno się ich krytykować za niezaofierowanie alterna-

tywnych programów; to znaczy za brak dokładnego określenia, jaki system polityczny nastąpi po ich rewolucji. Ma nastąpić to, co domyślnie zaproponowali: brak systemu politycznego.

Jak dotąd styl Studentów na rzecz Demokratycznego Społeczeństwa zdaje się być pod tym względem najbardziej obiecujący. Jest to luźno związana organizacja, wewnątrznie antyautorytarna, a zewnątrznie rewolucyjna. Wolność również szuka studentów, którzy zamiast drzeć się na establishment, porzucą go, założą własne szkoły, zadbają o ich efektywność i przeprowadzą świadomą, skoordynowaną rewoltę przeciw politycznym regulacjom oraz władzy, która koncesjonuje dziś szkoły – publiczne i prywatne – którym bardzo przydałaby się konkurencja ze strony nowych szkół z nowymi pomysłami.

Patrząc wstecz, można zauważyć, że ten sam sposób myślenia miał zastosowanie w okresie protestów okupacyjnych na Południu. Skoro wrogiem również były stanowe prawa narzucające osobne obiekty, dlaczego dobrą taktyką sprzeciwu wobec tych praw nie miałyby być zbudowanie lokalu gastronomicznego, w którym nie obowiązywałaby segregacja – i bronienie go, choćby się waliło i paliło? To sprawa, za którą każdy libertarianin mógłby się opowiedzieć.

Podobnie w sprawie szkół. Znajdź kogoś, kto zbuntuje się przeciw prawom publicznej edukacji, a faktycznie będziesz miał godnego rebelianta. Znajdź kogoś, kto tylko gardłuje o wepchaniu więcej socjaldemokratów – albo więcej konserwatystów – do rady szkoły, a odnajdziesz zorientowanego na politykę człowieka minionej epoki – rebelianta z plastiku. Albo poszukaj w najczarniejszej dzielnicy hydraulika, który zagra na nosie restrykcyjnym licencjom i certyfikatом z ratusza, a odnajdziesz bojownika o wolność o wiele bardziej znaczącego niż ktoś rzucający kamieniem w okno.

Władza i autorytet, jako substytuty dla działania i racjonalnego myślenia, to upiory nawiedzające dzisiejszy świat. To duchy bojaźliwej i przesądnej przeszłości. Polityka jest natomiast ich chowańcem. Na przestrzeni dziejów polityka stanowiła instytucjonalne odmawianie człowiekowi zdolności przetrwania dzięki wyłączeniu dysponowania wszystkimi swoimi siłami dla własnego dobra. I to ona, na przestrzeni dziejów, istniała tylko dzięki zasobom, które udało jej się zagrabic kreatywnym i produktywnym ludziom, którym – w imię licznych celów i kodów moralności – odmawiała wyłączenia dysponowania wszystkimi ich siłami dla ich własnego dobra.

Ostatecznie musi to oznaczać, że polityka zaprzecza racjonalnej naturze człowieka. Ostatecznie oznacza to, że polityka jest kolejną formą, jaką przybierają resztki magii w naszej kulturze – poglądem, że w jakiś sposób coś może powstać z niczego; że można coś komuś dać, nie odbierając tego wcześniej innym; że wszelkie środki, jakich człowiek używa, by przetrwać, należą do niego jedynie przypadkiem lub na mocy boskiego prawa, a nie dzięki zwykłej pomysłowości i pracy.

Polityka zawsze była zinstytucjonalizowanym i ustabilizowanym sposobem, w jaki niektórzy ludzie korzystali z siły pozwalającej im na utrzymywanie się z produktywności innych. Lecz nawet w świecie, który stał się uległy wobec tego typu żądań, człowiek nie musi eksploatować innych ludzi.

Polityka to właśnie eksploatacja ludzi. Świat *laissez-faire* przyniósłby ludziom wyzwolenie. I możliwe, że wizja tego typu wyzwolenia przyczynia się właśnie do narodzin najbardziej gruntownej ze wszystkich rewolucji. Nie przyjdzie ona z dnia na dzień, tak jak światła racjonalizmu nie zapalono szybko i wciąż nie rozgorzały one pełnią swego blasku. Lecz ona nadejdzie – ponieważ musi nadejść. W srogim wszechświecie człowiek może przetrwać tylko dzięki sile swojego umysłu. Jego

kciuki, paznokcie, mięśnie i jego mistycyzm nie wystarczą, by bez niego utrzymać go przy życiu.



STOWARZYSZENIE
LIBERTARIAŃSKIE

O WYDAWCY

Jesteśmy zwolennikami poglądu, że swoboda ludzkiego działania powinna być ograniczona wyłącznie wolnością drugiego człowieka.

Jesteśmy orędownikami swobód obywatelskich, sojusznikami dobrowolnych działań i sprzymierzeńcami idei liberalizmu i libertarianizmu.

Zajmujemy się promocją naszych idei na szczeblu ogólnokrajowym i lokalnym. Wierzymy, że konkretne działania mogą zachęcić ludzi, by dostrzegli wartość wolności w życiu publicznym.

Zachęcamy do współuczestnictwa w działalności, jesteśmy zawsze otwarci na świeże pomysły i inicjatywy. Organizujemy też regularne spotkania, na których planujemy nowe działania. Skontaktuj się z nami i dołącz, jeśli chcesz pomóc nam w popularyzacji naszych idei i masz na to dobry pomysł! Napisz nam maila na adres kontakt@slib.pl.

WESPRZYJ NAS!

Jeśli również cenisz sobie wolność i swobodę, lecz nie możesz do nas dołączyć, zawsze możesz wesprzeć naszą działalność darowiznami poprzez:

PRZELEW BANKOWY

Nazwa: Stowarzyszenie Libertariańskie

Adres: ul. Rynek 56/57, 50-116 Wrocław

Tytuł: Darowizna

Numer konta: 84 1750 0012 0000 0000 2810 3468